

PAWEŁ MARGUERITTE.

CZARNA KSIĘŻNICZKA

15

Ciąg dalszy.

Markiza poruszona tym tonem, nie przeczuwając ukrytej myśli, w słowach jego, widziała tylko szkodliwe dla zdrowia podniecenie.

— Doktor zalecił ci spokój, byś mało mówił.

— Auroro, czyż ja będę miał jeszcze chwilę takiej rozmowy — zawołał z doskonale udanym przejęciem. — Chciałbym odkryć ci swe serce, byś czytała w niem cały mój żal i wszystkie wyrzuty. Jeżeli nie powstanę już z tej choroby, obym chociaż mógł powiedzieć sobie, iż mi przebaczyłaś....

Pani Morailles, odczuwając w swem sercu litość dla męża, doznała jednak jakiegoś niepokoju, jakby instynkt przestrzegał ją przed grożącym niebezpieczeństwem. Odpowiedziała:

— Między nami była zawarta niema umowa, iż nigdy nie powrócimy do tego, co było. Przeszłość jest przeszłością i nic na to nie możemy poradzić. Po co więc masz niepokoić się i mnie męczyć?

— Ach, jak ty mnie musisz nienawidzieć, jeżeli taką jesteś wobec mego żalu i skruchy!

— Ja cię wcale nie nienawidzę — odpowiedziała wzruszona mimowoli.

— Jestem ci obojętny, a to jeszcze gorsze. To moja męczarnia!

Mówił to zdanie przejętym głosem. Spodziewał się, że ją złamie, a ona wymyka mu się. Odczuł, że nic od niej nie dowie się. Strategia jego była chybiona. Jeżeliby wyrzucała mu jego wiarołomstwo, kochanki, skandale, mógłby ją doprowadzić do tego, iżby zdradziła się nierozważnie. Lecz ona trzymała się w rezerwie. Gniew coraz większy opanowywał go.

— Tak, ja rozumiem: twa duma nie może mi przebaczyć. Już nic nas nie może połączyć. Rozdzieleni aż do końca, takie jest nasze przeznaczenie.

— Tak — odpowiedziała zmęczona — takie nasze przeznaczenie.

A ja szalony — szeptał, udając jakby, mówił w gorączce — sądziłem, że mój stan, możliwość rychłej śmierci wzruszy cię, lecz ty cieszysz się, widząc mnie słabym, bezsilnym. Agonia moja będzie dla ciebie wyzwoleniem!

Podniosła się blada z wyrazem oburzenia na twarzy:

— Gorączkujesz... Jakim prawem śmiesz mi zarzucać....

— Ach! — zawołał z wściekłością — wszystkie wy jesteście do siebie podobne. Będiesz nosiła po mnie żałobę, lecz błogosławić będziesz ten wypadek, który cię uczyni wolną.

— Cóż ja mam zrobić z tą wolnością?

— Czyż ty nie rozumiesz, że ja wiem wszystko!

Spojrzała na niego i wzrok się ich spotkał, przez chwilę jakby magnetyzowali się. Zaczynała się walka bez przebaczenia.

— Cóż takiego wiesz?

Zawołał głośniejsze jeszcze, sam poddając się grze, którą rozpoczął:

— Ależ wszystko! Czyż sądzisz, że ślepy. Wszystko odgadłem już dawno. To mnie dusi, pali!

— Uspokój się, gorączka cię podnieca.

— Ach, Auroro, jakie marzenia ja miałem. Marzyłem o przebaczeniu, o wzajemnem zapomnieniu. Chciałem, czy żyć, czy umierać ale pogodzony z tobą. Sądziłem, że mi przebaczysz, a ja sam, choć mężczyna, zaparałbym się siebie, by rzucić zasłonę na twoje błędy, chwilę twego zapomnienia.

— Ty zmysły tracisz — zawołała przestraszona, lecz głosem pewnym siebie.

Gdy mówił: ja wiem wszystko, widziała jak bladł, drżał. Odparła jego cios.

— Tak, to prawda — rzekł złośliwie — że już nie możesz poślubić Roberta Le Chars, bo on umarł.

Omal, że nie rzuciła się na niego, by dłońią zamknąć mu usta i powiedzieć: Zamilcz! Zabraniam ci wymawiać to imię. Idź do swych kochanek, a mnie pozostaw memu cierpieniu.

Lecz powstrzymała się i patrząc na niego wzgardliwie, odrzekła:

— To delirium... Nie mów nic, Henryku... Opcznij... Zapuszczę firanki i wyjdę...

Schwycił ją za ręce z jakąś konwulsyjną siłą i nie puszczał:

— Nie pójdziesz... Dokąd chcesz iść? Odszukać swego bękart?... Tak, to twój bękart! A tyś sądziła, że ja ołgupa!

Rozległ się wielki krzyk. Pani Morailles zdołała wyrwać mu się i pobiegła do drzwi.

— Kajetan!... On zwaryował!...

Markiz przeląkł się: przekroczył granicę, może wyniknąć skandal.

— Tak, zwaryowałem — rzekł dziwnym głosem — nie wiem, co mówię. Zazdrość mnie oszłomiła! Auroro, uspokój mnie. Powiedz, że to złudzenie... Pozostałaś mi wierna?... Robert... to dziecko?....

Pani Morailles zbierając resztki sił, zbliżyła się do posłania i kładąc dłoń na jego spocone czoło, nachyliła się nad nim, nad temi oczami, które mimo fałszywego błagania śledziły każdy jej ruch.

— Porozmawiamy o tem, gdy staniesz się znowu sobą. Nie mogę opowiadać choremu, oburzać się na ciebie, mimo iż tak mnie brudzisz.

— Tak, jam winien, bo wierzę mi, iż ja ciebie kocham, nieprzestawałem nigdy kochać... Ja nie mogłem znieść tej myśli, że ty... nie oskarżam cię, nie mam prawa, lecz zazdrość tak mnie męczy. Bądź szczerą ze mną... jeżeliś mnie zdradziła... to ja zasłużyłem na to.

Zdawał się mówić szczerze. Przez chwilę Aurora chciała raz z tem skończyć, wyznać mu wszystko! Lecz co potem!... Taki człowiek, jak on!...

— Jestem szczerą, nie mam do wyznania. Miałeś napad gorączki, która to wszystko wywołała.

— Ty nie kłamiesz, Auroro, lecz przysięgnij mi, a ja ci będę wierzył....

— Przysięgam ci — odpowiedziała markiza.

— Na głowę naszego syna?

Chwilę tylko zawahała się. Oby ta przysięga nie zaszkodziła mym synom, pomyślała.

— Przysięgam na głowę Andrzeja.

— Wierzę ci — odrzekł markiz i opadł wyčerpany na poduszki.

— Tyś wątpił o mnie, Henryku? Lecz może jam winna w istocie względem ciebie — mówiła z wyrazem przybranej szczerości. — Nie byłam otwartą z tobą, lecz sekret ten nie do mnie należał....

— Nie, nie mów mi nic — odezwał się markiz z udaną wiarą. — Chcę zasłużyć na twe przebaczenie, wierząc ci ślepo.

— Chcę ci wykazać tylko błędność twych podejrzeń! Jak ty mogłeś w to wierzyć. Kalumnie rzucono na mnie... zebrano pozory świadczące przeciw mnie... Uspokój się: jest w mem życiu tajemnica lecz nie moja, ale przyjaciółki, którą znieważyleś niesprawiedliwie....

— Proszę....

— Której zabroniłeś wpuszczać....

— Winien jestem....

— Zraniłeś moje serce i jej, lecz uważaj, bo ona ma obrońcę, który okryje ją swem imieniem.

— Co ty chcesz powiedzieć?

— Poślubia ojca swego dziecka.

— Ojca?

— Tak, Maurycy Le Chars; oto dlaczego spotkałeś go u niej. Uznają to dziecko, gdyż do tej pory nie mogli tego jeszcze uczynić. Czy teraz będziesz mi zarzucał, że chowałam ten sekret?

— Auroro, ja wierzę...

Pani Morailles przejęty tą wiadomością, nie wiedział co myśleć. Mylił się więc... Jak jeszcze nie wierzyć wobec takiego tłumaczenia.

— Więc panią Dandre z Maurycym Le Chars łączył?...

— Tak, ja o tem nie wiedziałam, dopóki miłości tej nie zdradziło narodzenie dziecka. Wtedy pod pozorem wyjazdu do Roche-Forte byłam przy jej rozwiązaniu.

— A więc dlatego nie była w zamku, myślał markiz. Najmniejsze więc nawet zarzuty rozwiały się... Lecz jeszcze jedna wątpliwość.

— Dlaczego ten związek był w tajemnicy. Dlaczego pan Le Chars nie poślubił jej wcześniej?

— Był on jeszcze pod władzą dawnej kochanki, a opium, którego w Azji nadużywał, osłabiło zupełnie jego wolę. Był daleko stąd, gdy się dowiedział o stanie Joanny.

— Przebac mi Auroro, chociaż tylko tę zazdrość mają, jeżeli nie możesz przeszłości. Nie mogę darować sobie, że ci odmówił szacunku.

— Nie dotknąłeś mnie, lecz nie mówmy już o tem. Lecz spokojnie musisz odpocząć.

— O, tak...

Pani Morailles wyszła, odprowadzona jego, wzrokiem, w którym mimo wszystko widniała jeszcze wątpliwość i uraza. Więc on był zwyciężonym! On! który u nóg swych widział nie jedną kobietę. Jak jej jeszcze nie wierzyć! Mówiła prawdę, lecz prawda ta go poniżyła. Czuł się zwyciężonym i w chwili tej nienawidził jej.

W miesiąc potem pani Morailles znajdowała się na dworcu kolejowym, odprowadzając młodą parę małżonków, poprzedniego dnia dopiero poślubionych sobie. Do odjazdu brakowało jeszcze trzech minut.

Mazkiza z oczami zapłakanymi pod gęstą woalką szeptała tylko:

— Moi drodzy, moi przyjaciele...

— Odwagi więcej, markizo: pamięć o pani zawsze będzie żywą w naszych myślach.

— Będziemy się opiekowali Jackiem — rzekła Joanna, już jako pani Le Chars.

Konduktor zawołał: proszę wsiadać!

Ostatni jeszcze uścisk zamieniły obie istoty. Drzwi wagonu zatrzasnęły się i w chwilę potem pociąg ruszył.

Pani Morailles smutna, z sercem zboliałem wróciła do pałacu. Pierwsze jej kroki były do Andrzeja. Ucałowała go serdecznie, przyciskając do piersi z myślą o nim i o drugim synu, którego opuściła.

CZĘŚĆ II.

I.

DZIECIĘCTWO JACKA.

Upłynęło lat dziesięć.

W otwarte okna pałacu Corsi jasne niebo Weneccy słało słoneczne promienie, złocąc niemi wnętrza konsulatu francuskiego. W jednym z salonów piękna jeszcze kobieta, siedząc w wielkim, skórą obitym fotelu z książką na kolanach, słuchała jak młody, dwunastoletni chłopiec wydawał swą lekcję.

— Bardzo dobrze, Jacek, jestem z ciebie zadowolona.

A ponieważ podsunął jej do ust czoło, by otrzymać jej zwykłą nagrodę, ucałowała go serdecznie. Zapytał:

— A więc pójdziemy, mamusi do ogrodu, prawda? Gizela powiedziała, że przyjdzie także.

Pani Le Chars uśmiechnęła się patrząc na tego syna adoptowanego, swego syna według prawa. Miał czarne oczy, zgrabną energiczną postać, żywą, inteligentną twarz.

— Joanno — odezwał się Maurycy Le Chars, wchodząc do salonu, który komunikował się z jego gabinetem — popatrz co ja mam — i pokazał jej list z marką francuską.

Pismo nie było jej obce, zaczęła je czytać, podczas gdy konsul, kładąc rękę na głowę dziecka rzekł mu:

— Idź ubierać się, zbyt ładnie jest, by siedzieć w domu.

— A czy tatko pozwoli wziąć wielką gondolę z dywanem i żeby Zurli i Pietro wiosłowali.

— A to poco panie Jacku?

— Żeby nas widziała moja przyjaciółka Gizela.

Chłopiec powiedział to z taką naiwną powagą, a zarazem z takim pragnieniem podobania się swej Dulcynei, że ojciec — czyż nie był nim obecnie? — roześmiał się do niego, gładząc go po włosach.

Zwrócił się do żony, mówiąc jej pocichu, podczas gdy dziecko z balkonu przypatrywało się przepływającym gondolom:

— Jak on jest podobny! Ten sam głos, ruchy. Oczy, czoło zupełnie jak u Roberta....

— A wdziek Aurory — dodała Joanna.

Spojrzeni na siebie z czułością: dobrze dopełnili swego zadania. Jacek chował się szczęśliwie, sprawiając im sobą wielką radość. Jak każde dziecko, miał swe wady; bywał uparty, gwałtowny, leniwy czasem, lecz zaraz poprawiał się, gdy spostrzegał, iż czyni przykrość swym rodzicom.

Joanna oddając list po przeczytaniu mężowi, zauważyła, iż znowu ma oczy zmęczone, a na twarzy wyraz jakiegoś kłopotu, który mu nieraz czoło zamraczał. Stanowili szczęśliwe małżeństwo. Dzięki zaletom swym, Joanna była jak najbardziej dobrą towarzyszką, dla tego wykształconego, kulturalnego mężczyzny, lecz zarazem bardzo uczuciowego i nerwowego, Maurycy Le Chars nie miał istotnie tej równowagi moralnej, jaką odznaczał się jego brat. Skory do uprzedzenia się jak i zniechęcenia, zdawało się, iż zachowania jeszcze resztki odnego swego życia burzliwego, ślady poprzednich nadużyć. Przez pewien czas bała się, iż odda się znowu opium. Śledziła go dyskretnie, nie zauważyła jednak najmniejszej rzeczy, któraby wskazywała, iż mąż powrócił go zgubnego nałogu. Nie miał żadnych przykrości, żadnych ambicji, a jednak widać było nieraz na nim jakiś smutek. Co mogło być jej mężowi? zadawała sobie nieraz to pytanie. Jeżeli go pytała, zapewniał, że nic mu się złego nie stało. A jednak....

— I co ty mówisz na ten list? — zapytał.

Zbliżyła się do niego, opierając głowę swą na jego piersiach.

— Co postanowisz, to będzie dobre.

— Widocznie, że markiz nie żywi już żadnych podejrzeń, kiedy zaprasza nas sam, byśmy przebyli